



Stanisław Maślanka

część II z IV

Sygnatura notacji: **N0003**
Data urodzenia: **1.01.1924 r.**
Data nagrania: **28.11.2006 r.**
Miejsce nagrania: **dom świadka, Warszawa, Polska**
Prowadząca/y rozmowę: **Anna Teresa Pietraszek**
Czas nagrania: **część I: 60 min, część II: 57 min, część III: 60 min, część IV: 44 min**
Format nagrania: **video**
Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Stanisław Maślanka: I wtedy już zaczynałem tam jeździć do tego Kowla. I cały czas jeździłem. No i kończę tę historię. No więc mija tak jakoś tydzień, może dwa, nagle kolega zgłasza: słuchaj, poleciała do was drezyna motorowa. To wiecie państwo, co to jest. To takie auto jeżdżące po szynach kolejowych. Kto tam jedzie? A, mówi, oberinspektor. Już mnie nie ma. Ja odbierałem telefon, już mnie nie ma, koledzy zostali, nie ma, poszedłem schować się za ten i tego. No, przyjechał ten Niemiec, siedzieli tam, popijali i tego. Ja siedzę, chowam się tam tak długo. W końcu słyszę i widzę, prawda, wziął, pojechał. Mówię, pojechał, z nikim nie przyjechał, aresztować nie chcieli. Chyba Niemcom nic nie powiedział, bo by zaraz mnie Niemcy szukali, wprowadzie kolejarze, ale też oni Niemcy, więc działaliby na rozkaz, więc ja mówię, to ja idę. Wchodzę na ten, dalej pełnić dyżur, nagle wbiega szef. Ty, mówi, słuchaj, kto to jeździł, ty nie wiesz, kto to jeździł do Kowla ze szmuglem i był aresztowany? No, teraz ja w kropce, ale błyskawicznie, widzę, że nie ma co oszukiwać, bo coś wie. Teraz, ile on wie i co on wie. Ja mówię, panie szefie, to ja jeździłem. No, widzisz, jaki ty głupi. Jedziesz do Kowla, nic nam nie mówisz, że jedziesz ze szmuglem i teraz ja nie wiedziałem, co temu oberinspektorowi powiedzieć, który to z moich pracowników był. A czyli wszystko się zgodziło, wszystko jest dobrze. Czyli mogę pozostać dalej i pracować. To jeszcze nie koniec. Za jakieś dwa, trzy tygodnie wzywa mnie mój szef, mówi: masz tutaj jechać do dyrekcji kolejowej, do tego wicedyrektora. Tam ci powiedzą, co masz robić. Ja mówię, panie szefie, ja do Kowla, nie chciałem się tam pokazywać, plątać się. Jeszcze tych Niemców czy Ukraińców spotkam. To niechętnie, to znaczy, ja później jeździłem też, ale zawsze uważałem i chowałem się, tak omijałem, żeby mnie nikt nie zauważył z tych, którzy mnie tam oglądali. No, więc wziąłem, zachodzę do sekretarki. Sekretarka mówi: A, tak, chwileczkę. Poszedł do dyrektora, przynosi jakiś papier, mówi: a tak, weźmie pan amunicję dla waszych Niemców. Ja mówię: No dobrze, no wezmę. Myślę, jak mi dają i wierzą mi, to nie ma kłopotu. Ja mówię, gdzie mam ją odebrać.

A pójdziesz na posterunek straży tej, kolejowej. No, ja mówię, no tak. To jeszcze tylko brakuje, żebym ja tam poszedł, ale myślę, no, co ja mam teraz zrobić? Żeby był kolega, to skierowanie jest, ja byłem wtedy sam, kolegi żadnego nie miałem, nawet gdybym był, to wszystko było na moje nazwisko. Ale myślę, no, zaryzykowałem i idę tam. Wchodzę, mówię, dzień dobry, ten Niemiec się popatrzał na mnie: A ty co tu chcesz? Ja mówię, panie szefie, proszę. Co? Oni chyba zwariowali, że tobie amunicję dają. Ja mówię, panie szefie, oni wiedzą dobrze, co robią. Jak pan nie wierzy, niech pan zadzwoni do oberinspektora. Nie zadzwonił. Nie zadzwonił, dał mi tę amunicję. Oczywiście, amunicja nam nieprzydatna, bo to do holenderskich karabinów, kolejarzom, tej różnej broni w Europie oni tam nazdobywali, więc dali im holenderską amunicję, nam nieprzydatną. Zresztą i tak bym musiał oddać wszystko, i tak, żeby nie wpaść. No i tego. Oddałem, no i tak się to skończyło. I już więcej, już od tamtej pory miałem spokój z tą strażą kolejową i z tymi oberinspektorami już nigdy się tam nic nie działo. Ale to ciągle ktoś jeździł, ciągle trzeba było jeździć, wozić. Któregoś dnia przylatuje do mnie kolega, mówi: Słuchaj, przyjechał goniec z Dorohuska, Niemcy go złapali i coś go tam maglują. Z Dorohuska mówi, kto to taki, jak on wygląda? Mówi, nie wiem, my go nie znamy, wiemy w jaki sposób, że to jest goniec do nas, ale z kolegów jego osobiście nikt nie znał. Myślę, nic mnie to nie kosztuje, mogę pójść zobaczyć. Wchodzę do tego szefa Niemca, kawał świni i wiecie państwo, co mnie przyszło do głowy? Jak wszedłem, popatrzyłem na chłopaka, ja go oczywiście nie znałem. Wchodzę do niego, wchodzę do tego, patrzę na niego, już widziałem, kto to jest, że to jest goniec, a mówi: A, czołem, dzień dobry – podaję mu rękę. Ten chłopak nic, tylko podał mi rękę, a Niemiec pyta się, co ty go znasz? Ja mówię, dobrze, znam, to przecież mój kolega i tak dalej, i tak dalej. No, widzisz, po co on tu chodzi i płacze się, i tego. I go puścił. Wie pani, wyszliśmy z nim, ja tak z nim idę, idę, odeszliśmy, już tam nie widać, Niemców już tych nie widać, ja mówię, ty, siadaj, bo ja już nie mogę dalej iść. Odpocznijemy. Tak się zdenerwowałem tym wszystkim. No, poszliśmy do mnie do domu, no, co trzeba było, wszystko pozafatwiał i tak dalej. Ale znowuż przeżycia to są niesamowite. Kiedyś dali mi pistolet, mówi, słuchaj, uszkodzony, w Chełmie są, ci, co naprawiają, weź, zawieź i tego, to cię naprawią i przywieziesz. No, ja mówię, dobra, to pistolet, niewielka rzecz to tego, to nie kłopot, to nie karabin. Wziąłem to, zawiozłem, naprawili, odebrałem, włożyłem do teczki i tak wiozę. Jedzie ze mną mój Niemiec. Muszę wrócić do tego Niemca. Dlaczego tak jest. Przyszło trzech Niemców objąć stację, prawda? Jak już wojsko poszło dalej. Oni wszyscy byli z tego, z Nadrenii, z Westfalii byli wszyscy trzej. Jeden taki najstarszy z nich, już siwawy, rozmawiał z nami już przedtem, opowiadał, że on i w Warszawie był i tam z polskimi kolejarzami wódkę popijał. Mówię, a wiecie, jak nasi pójdą na wschód, wziął czapkę, daszkiem do tyłu, mówi, tak pójdą nasi na przód. A jeszcze wtedy doskonale oni szli, bo to były pierwsze, ja mówię, o, to dobry Niemiec. Dobry Niemiec, mówi. Ja tędy szedłem w 1914 roku. I tak wracaliśmy. To samo czeka też i tego. Ale mówi z tym Francem, on jest takim zawiadowcą najmłodszym, to nie rozmawiam, bo jest partyjny, a z tym głupim trzecim, nie pamiętam, jak mu było na imię, z tym to w ogóle nie rozmawiaj, bo ten cały czas czyta Mein Kampf. I kiedyś jak przychodził na dyżur z książką Mein Kampf i to czytał. Co zrobić, taki był. Był straszny zmarzluch i nic, tylko palił fajki. Jakie fajki, bo najzdrowsze fajki to są gliniane. A gliniane fajki, to jak wziął do ust, wziął do ręki, to one się później tak wysmarowały, że były brudne, a ten, co tak przekreślił ten daszek do tyłu, kiedyś go wkurzyło, to była zima, wziął mu te wszystkie fajki i wrzucił do pieca. I zrobił mu przysługę, bo te fajki się wypaliły i on wyjął, i wszystkie były czyste. Tośmy się wtedy uśmieli. Ale co zrobić, były i chwile wesołe. Dlaczego ja wróciłem? Bo to ten pistolet miałem w teczce i wracałem z Chełma z tym Niemcem, właśnie z tym daszkiem do tyłu. Już siedzimy na lokomotywie, już tej straży granicznej nie ma, już poszli, to już ja myślę, no, chwalić Boga, poszli, czyli mam spokój, już nie tego. Zaraz przylecieli i włączą, ponieważ nas tam więcej jechało kolejarzy, zaczęli przeglądać pakunki. Ja mówię, no tak, to ja teraz leżę. Ja swoją

teczkę, która była taka, no, nieduża, ale taka elegancka, wziąłem, postawiłem przy teczce tego Niemca. Przychodzi pograniczny, tak pyta się: A to czyje? Ten Niemiec mówi kolejarz: To moje. To jego nie ruszyli. Niemców nie ruszali. Oni wiedzieli, że ci Niemcy szmuglują, ale Niemców nie ruszali, prawda, i tego. I zabrali się, i poszli. Ja mówię, no znowuż. Znowuż kosztuje mnie to trochę nerwów. Później, no, dużo mnie jeszcze kosztowało nerwów przyjazd, ale to już przy samym końcu w 1944 roku przyjazd gońców, kurierów z Warszawy, z głównej komendy. Ponieważ już innej komunikacji z dywizją nie mieli, więc przysyłali do Dorohuska, a Dorohusk od razu mnie ich przekazywał, a ja dalej do dywizji. To z nimi też miałem niesamowite kłopoty. Nagle przyjeżdża ich dwóch z bronią, otwarcie z bronią na tym, forstschutz. Forst to jest leśnictwo, prawda, czyli straż leśna. Ja mówię, ludzie, co wyście powariowali? Jedziecie tam za Bug, kto tam widział taką straż, od razu was tam Niemcy złapią. Straż leśna, czyli jesteście partyzanci. No, więc z kolegami tak urządziłem. W jaki sposób? Ta straż graniczna przegląda, no więc ja mówię do kolegi: Ty, Tadzik, zrób tak, żeby tam parę razy się tym parowozem przejechał z jednej strony na drugą stronę, że robimy jakieś przytoki, coś się dzieje. No więc oni tam to sprawdzili, a później myśmy tym parowozem przetoki niby jakieś robimy i tego. Myśmy tam wsiedli i oni już nie sprowadzali, ale tak kieszenie to mi się mało od złota nie urwały. Dolary i to wszystko mieli. Przyjechali oni we dwójkę, Kowel już był wtedy w okrążeniu, dywizja już była na Polesiu i oni mają dotrzeć do dywizji. Pojęcia nie mają, gdzie to jest. Powiedzieli im tam „pi razy oko” na Polesiu są, idźcie, szukajcie. A jakie tam warunki były, to nie bardzo ich umieli uświadomić. Mówię, o, jedziecie z bronią w forstschutz, to tego. Nie mieli, ci co wysyłali ich, nie mieli pojęcia, że takich kurierów, tak ubranych nie można przesyłać. Przyjechali do mnie, ja mówię, no dobrze, do dywizji was wyprawię, ale wy dwaj nie pójdziecie sami. A dlaczego? Mówię, bo po drodze was zaraz Ukraińcy zastrzelą, bo będziecie szli przez ukraińskie wioski. W Jagodzinie po przejściu, przy okrążeniu dywizji było sporo odbitków. Niektórzy nie zdążyli przejść ze swoimi jednostkami za tory, żeby pójść dalej na Polesie. Ja takich znalazłem kilkunastu. Trzeba trafu, że na to przyjechał żeliwo, taki szef żandarmerii dywizyjnej. Oj, ja mówię, chwalić Boga, podskakując, mam oficera z takiej dobrej instytucji, jak żandarmeria. Wytlumaczyłem, gdzie, co, którędy jak mają iść. No i oni poszli. Oczywiście doszli, wszystko, co trzeba, ja do swego dowódcy „Korda” wszystko, co trzeba tam napisałem, podałem i tak dalej, czy opowiedziałem, bo na piśmie nie bardzo dawałem, a nuż któryś zginie i tego, i Niemcy mogą czytać, kto pisał, jak i co. Więc w każdym bądź razie wszystko to, co trzeba, oni przekazali, no i za jakiś czas wracają. Wracając, przyprowadzają dwóch Warszawiaków i mówię: O, a, ci tych kolegów z Warszawy, a oni byli z kompanii warszawskiej, bo na Wołyń pojechała, jak jechał tam dowódca okręgu, później dowódca dywizji, ten, no widzi pani, wszystko jedno nazwisko.

Anna Teresa Pietraszek: Oliwa? Nie?

Stanisław Maślanka: Oliwa, tak, to ze sobą zabrał... Ponieważ jechał na Wołyń, nikogo nie znając, nikogo, ani z tych oficerów, nikogo tam nie znał, więc zabrał kompanię warszawską, która się tak nazywała, trochę specjaliści od minowania, bo ich tam uczyli i tego. No, ale jak ich zabrać. Zabrać ich w pełnym uzbrojeniu. To teraz z Warszawy trzeba wyjechać samochodem, zajechać do Bugu i tam już łódką przejechać. Tego nie będę opowiadał, bo to kompania warszawska może opowiedzieć. W każdym razie ona dotarła, ta kompania, i tam później była. Więc ci dwaj z tej kompanii warszawskiej z tymi kurierami do Warszawy, przepравиłem ich przez tę granicę. Sposoby to były najróżniejsze, pojechali dalej. U Sowietów za zegarki kupili broń i oni... ponieważ mieli te dokumenty, które były przez Niemców jakoś honorowane, tak że oficjalnie tę broń przewieźli i do Warszawy dojechali, bo miałem od nich wia-

domości. Jeszcze jeden z nich żyje. To była jedna para kurierów, ale miałem też i poszczególnych. Przyjeżdża na raz taki żołnierz SS Galicja, ukraiński, z karabinem w rękę. Oczywiście wiedział, gdzie mnie szukać, rozmawia ze mną po polsku, wymienił hasło, jak i co, co trzeba było, mnie zostawił i ja mówię: No, chłopie, a gdzie ty teraz jedziesz? Mówi, jadę do Warszawy, bo z Warszawy przyjechałem na takich dokumentach, że jestem żołnierzem SS Galicjan, tej dywizji, miał dokumenty normalnie tak, że władze i z bronią, i nie robiły mu trudności, a czy znam język niemiecki, czy nie, mógł nie znać, bo tego, ta przecież w tym SS Galicjan to tam raczej nikt po niemiecku nie rozmawiał. No i co ten mi mówi, słuchaj, mówi, ja już nie mam siły. Ja mówię, co jest, mówi, słuchaj, ja jeżdżę i jeżdżę, i wiesz, i tego, i nigdy nie wiem, kiedy wrócę. Ciągle jakieś przygody takie nieprzewidziane. Tak jak ja tutaj, ciągle się coś dzieje, ciągle człowiek nie zaplanuje, nie tego, wydawało mi się, że ja te wszystkie drogi i tak dalej między ogonami znam dobrze, że tam mnie nikt nie ruszy, a akurat trzeba trafu, że wlaź ten Ukrainiec i mnie złapał. Tak że to jest nie tego. Na ten temat uśmiełem się z komendanta okręgu, Bąbińskiego, bo trzeba trafić, że... ale to znowuż jeszcze inna historia, we Wronkach jak siedziałem, ale nawiązuję do tego, bo on się pyta, bo myśmy się nie znali, prawda, tego, on tam takiego kuriera, jak ja od „Korda”, to u niego akurat nie bywałem, w inspektoracie komendanta inspektoratu, to znałem dobrze. Rozmawiałem i tego, to była nas taka trójka w celi, komendant Bąbiński i hrabia Rozenwerth, były właściciel fabryki samolotów Białej Podlaskiej, przed wojną taka malutka jakaś fabryczka tam była, nie mieli za co go posadzić, to przyszli, zrobili rewizję, znaleźli tam kilkadziesiąt dolarów i za te dolary posadzili go i siedział. Bąbiński wiadomo, dowódca okręgu, pułkownik, za co i tego, ale jakiś czas tam dużo ciekawych rzeczy właśnie od góry, od Bąbińskiego się dowiedziałem, bo mnie tam uświadomił. Ja mu za to opowiadałem od dołu, co się działo, więc też na temat tej jazdy. Mówię, słuchaj, ja wiem i rozumiem ciebie. Ty wyobraź sobie, że ja raz jadę, wyjechałem, musiałem pojechać służbowo do Radomia. I miałem dokumenty niemieckie i wleźli Niemcy, i zaczęli mnie wypytywać, dokumenty, że pracuję na jakimś lotnisku na polskich Kresach albo troszkę dalej już na tym, w takim przedsiębiorstwie, polskie firmy tam jeździły i pracowały, więc on miał takie dokumenty, ale to dla Niemca było trochę podejrzanę. I zaczął go się tam wypytywać najprzeróżniejsze rzeczy, mówię, dobrze, a jak pan, jak wysiadł pan w tej Szepietówce, czy tam w innym, to jak pan tam szedł do tego. Chciał się zorientować, co on wie o lotnisku. A ten mówi, szosą to ja nigdy nie szedłem, bo to jest daleko. Chodziliśmy ścieżką na przełaj do tego. No i tam go jeszcze wypowiadał i tego. No i go oddał dokumenty i puścił. A do czego ja nawiązuję? Wtedy ten pułkownik mówi, teraz ja wiem, co to znaczy być kurierem, jeździć na lewych dokumentach i jak się zachować. To mnie się lżej zrobiło, że to docenił. Po wyjściu Niemców, konspiracja oczywiście, ta, która rozpoczęta w okresie okupacji tej sowieckiej, zaczęła działać dalej i to w sposób taki intensywniejszy, bo w czasie okupacji tej sowieckiej, to była straszna rzecz, żeby tam się gdzieś coś ruszać i coś robić. Tu za Niemców już można było robić to śmiało i odważnie. Więc oczywiście wszędzie i na całym Wołyniu, powstała siatka AK. Powiedzmy, ja zacznę tu od naszego okręgu, właściwie obwodu lubelskiego. Więc komendantem, jak już wspominałem, komendantem obwodu lubelskiego został porucznik Kazimierz Filipowicz, pseudonim „Kord”. W tych wszystkich polskich wsiach, które już były przeze mnie wymienione, powstały placówki. Wszędzie był dowódca placówki, miał tam drużynę czy pluton, czy coś, to wiesz i to tam trwało, oczywiście spotykało się tam i praca, i wszystko, i jakieś ćwiczenia. W każdym razie wszystko to, co było wymagane w konspiracji i do przyszłej walki. Stosunki Polaków i Ukraińców w naszym rejonie właściwie do wojny to ich nie było jakichś wrogich. Raz, że wioski były czysto polskie, więc z Ukraińcami nie potrzebowali się specjalnie spotykać. Wszystko było załatwiane w obrębie tych wiosek już wymienionych. Tak że zatargów jakichś takich osobistych czy coś nigdy nie było. I co bardzo dziwnego. Jak się zaczęła rzeź na Wołyniu, a właściwie, zanim powstała rzeź, to było masę wypadków, mordów

na Polakach od dawnej polskiej starej granicy i to szło, posuwało się dalej tak w kierunku zachodnim, no i skończyło by się na Bugu. Ale co, ludzie do konspiracji, no tak, wszystko dobrze, ale jak się im tłumaczyło, słuchajcie, idzie zawierucha UPA, że musimy się szykować i pilnować, bo tak, no prawda, mówicie o tych wypadkach, każdy, my to wierzymy, że tak jest, ale nie przypuszczamy, żeby u nas cośkolwiek się stało, żadnych zatargów sąsiedzkich z Ukraińcami nigdy nie mieliśmy, więc nie mamy się czego obawiać. Więc taka sytuacja uspakajająca, nie można było bardzo ludziom wytłumaczyć, co się tam dzieje. Bo dopiero, jak ci mogliby coś bliżej powiedzieć, co tam przeżyli, czy coś, a tak spokój był i aż pewnego dnia stało się to i u nas. Więc UPA przy pomocy miejscowej ludności ukraińskiej napadła w pierwszej kolejności na wieś Ostrówki i Wola Ostrowiecka. Tam był też i kościół, i ksiądz, więc taka dobrze zorganizowana wieś. Był dowódca plutonu i tak dalej, było wszystko tak jak potrzeba. Dlaczego stamtąd się to zaczęło? Dlatego, że poza tymi wsiami polskimi, obok to były wszystko wsie ukraińskie, więc oni zaczęli z tamtej strony, bo z tamtej strony było im najłatwiej. Im trudniej było zacząć z drugiej strony, bo to już tory kolejowe, sporo Niemców, duży ruch, więc sprawa nie taka bardzo prosta i łatwa. Więc tam zaczęli. Więc ze wsi Ostrówki i Wola, to te dwie wsie właściwie przestały istnieć. Tam nieliczni uciekinierzy, to chronili się tutaj w Jagodzinie w Rymaczach, wielu uciekało za Bug, bo tam było najbezpieczniej. Zwłaszcza ci, co mieli tam bliżej gdzieś w lubelskim jakieś rodziny czy coś wszystko się przenosiło na ten, bo widzą, że na razie nie ma sytuacji, żeby można było w jakiś sposób na to gospodarstwo powrócić, chociaż wiemy, że chłop polski jest tak mocno przywiązany do tej ziemi, że opuszczać jej, no, w ostatecznym wypadku dopiero opuszczał. I właściwie konspiracja nie zdążyła się przeciwstawić tym napadom. Nie zdążyła, bo wszystkich zastali można powiedzieć na spaniu. Bo to nad ranem zaatakowali to i ten. Dopiero, jak pierwsi uciekinierzy z Ostrówek i z Woli przylecieli na Jagodzin i tam oczywiście wszystko to już zahaczyło o komendanta obwodu Filipowicza, który natychmiast zorganizował taki oddział z Rymacz, ponieważ Rymacze były jeszcze wtedy niezaczeplone, były jeszcze bezpieczne, więc od razu powstał oddział. Początkowo niewielki, dopiero się zbierało. Za jakiś czas, dopiero jak się tego nazbierało więcej, przyszedł z Lubomla porucznik „Mohori”, Ryszard Markiewicz, też nauczyciel, który był później cały czas zastępcą „Korda”. I tak już we dwójkę ten oddział zaczęli organizować, który urósł do dużej kompanii, właściwie nawet poza kompanią, nawiązał też kontakty z sąsiednimi wsiami, z Dubienką, bo to przez Bug tylko, więc tam też stała łączność była i na przykład jak ktoś przyjeżdżał z Warszawy, to bardzo często właśnie przyjeżdżał do Dubienki, jak nie kolejną przez nas do Kowla, to było łatwiej tamtędy, do Dubienki przewieźli przez Bug łódkami i było w porządku, chociaż straż graniczna niemiecka była, cały czas ta granica była strzeżona przez Niemców, nie pozwalali Niemcy się tak kręcić, ale to ileż to trzeba byłoby tych Niemców, żeby nie pozwolili przechodzić przez tę granicę. Więc z tego okresu właśnie ja miałem najwięcej roboty, bo to się zaczęło, no, tragedia. Pierwsza rzecz, zaczęli ściągać ludzie uciekinierzy ze wsi. Więc, co ja robiłem, oczywiście z kolegami to wszystko, nie wszystko, ci co chcieli uciekać za Bug, ładowało się, tak kombinowało, żeby się to tymi pociągami przedostały na stronę lubelską i tam oczywiście do komitetu, to się nazywał wtedy komitet pomocy czy komitet... Jak ta się nazwa nazywała, komitet opiekuńczy, czy coś. Była taka instytucja za Niemców, że jak nie mają co robić i tego, to żeby tam się zgłaszali, to będą tam te miejscowe władze pomagać. Teraz tak, było dużo rannych. Z tymi był kłopot największy, bo ranny, który jeszcze w rękę czy coś, i chodził, to z takim żadnego kłopotu nie było. Gorzej, jak ktoś był chory, ranny w nogę czy coś, a cięższe rany to w ogóle były kłopotliwe, więc tych wszystkich ja, tak nie przesadzając, ciągle ktoś z lasu przybywał, do mnie tam przywoził, około 40 takich rannych, wszystko przetransportowałem do Chełma. To znaczy, nie tylko sam, bo to wszędzie byli koledzy, którzy współpracowali, w Dorohusku to samo, to wszystko przy pomocy, to wszystko współpraca z naszej strony i ze strony Dorohuska

i AK lubelskiego. Tak samo w Chełmie szpital PCK dokładnie wiedział, kto to jest. Ja się nieraz dziwiłem, jak tylu rannych tam się naszych znalazło, że Niemcy przyjdą i to wszystko zabiorą i wystrzelają, ale Polacy tam dobrą politykę prowadzili, pytali się, jak się Niemcy pytali, skąd ci ludzie, no, mówię, jak to, nie wiecie, jak tam Ukraińcy mordują tych Polaków? To są wszystko ranni przez upowców. I to jakoś tak przysychało i nie było jakiejś takiej wpadki, żeby tego. Ale najgorzej było z kilku ciężko rannymi. Jak ich przewieźć? On się nigdzie nie ruszy. Trzeba go przenieść, zanieść. Robiliśmy to w ten sposób, na front szły pociągi z Niemcami, z wojskiem, w zwykłych wagonach, jak to zresztą to lato było, Niemcy nie używali słomy, bo słoma była do czego innego, ale za to mieli dużo wiór. Wióry drzewne, kłębiaste takie i Niemcy na tym spali, do takiego wagonu naładowali taką warstwę dużą tych drzewnych wiórków. To, co ja robiłem, brałem takiego ciężko rannego do wagonu, przykrywałem go tymi wiórami i był niewidoczny. Umawiałem się z kolejarzami, że sadzałem ich najlepiej do pierwszego wagonu i z tym że ten pociąg jechał jak najdalej, jak tylko można na tej, ponieważ Dorohusk był stacją graniczną, gdzie każdy pociąg się zatrzymywał i straż graniczna niemiecka wszystkie pociągi sprawdzała, żeby on był jak najdalej, bo trzeba trafu szczęśliwego, że posterunek straży granicznej był od strony wschodniej, na początku stacji, nie na końcu, nie od strony już Chełma, tylko od strony w dół, tak że, jak pociąg wjechał, to oni wychodzili i szli od tyłu pociągu przez cały pociąg, aż do początku. Więc zanim oni to przeszli, do każdego wagonu zajrzeli, to czasu troszkę mijało. Więc przesypany taki ranny, to śmiało oddychał, bo to powietrze było pod tymi wiórami, to było pod dostatkim i tak leżał. Ja mówię, leż, dopóki ktoś do ciebie nie przyjdzie. Otwieraliśmy specjalnie wagony, żeby Niemcy nie musieli otwierać i nie zaglądać, czy tam coś nie ma, czy jak, czy coś, otwarty wagon, to było dla nich ułatwienie, a no, zachodził, zaglądał, nic nie ma, nic nie ma, a pociąg jest długi, wagonów koło trzydziestu albo i więcej, więc żeby to wszystko sprawdzić, to na to trzeba czasu, więc w ten sposób takiego, a z tym rannym jechaliśmy tym samym pociągiem do Chełma, a tam od razu też mi pomagali, dorożkę, a dorożkarze już nas znali tam i do szpitala na ulicy Lwowskiej, do szpitala PCK. No i tam byli dalej leczeni. Tak samo, jak przewoziło się w pociągu kogoś innego, to też w ten sposób właśnie do pierwszych wagonów, on się siadał w Jagodzinie do pierwszych wagonów, robiliśmy tak, żeby ten pociąg w Jagodzinie mógł stanąć, żeby mogli wsiąść i też jechał aż tam do przodu. Zwykle to ja jeździłem czy ktoś z kolegów, czy coś i dojeżdżaliśmy tam do tego, ja mówię, teraz wyskakiwać i tu w krzaki. Oczywiście w nocy to robiliśmy. No, to wysiadało się i chowało się w te krzaki, Niemcy przyszli, popatrzyli, zabierali się i poszli. Było wiadomo, że tego, zresztą maszynista jak odjeżdżał, to tam sygnał dał, że on odjeżdża, czy coś. Wszyscy siadali i tak jechali do Chełma. A w Chełmie to wiadomo, każdy albo na swoją rękę już wiedział, gdzie iść, tłumaczyliśmy, czekał gdzieś do rana na dworcu czy gdzieś, żeby nie po nocy się włóczyć, bo po nocy jak Polaka spotkali w Chełmie, bardzo łatwo Ukraińcy strzelali, bez pytania czy coś, aby zabić Polaka i koniec, więc było bardzo niebezpieczne poruszanie się w Chełmie, zwłaszcza cywilom. Jeszcze kolejarz po kolejowemu z latarką, to jeszcze tak, ale już cywil to tego, to zaraz by Ukraińcy zastrzelili. No więc tych rannych, tak jak mówiłem, wszystkich przetransportowałem do Chełma. Teraz porucznik Zagłoba... Ale zanim zacznę, po przejściu dywizji przez tory, wiemy, że wiele oddziałów zostało, rozproszyło się i nie przeszło toru i zostało w tych lasach, gdzie było to okrążenie.

Anna Teresa Pietraszek: W którym to było roku?

Stanisław Maślanka: To wszystko rok jest już 1945. To przejście przez tory było przy końcu kwietnia.

Anna Teresa Pietraszek: Dwudziesty czwarty.

Stanisław Maślanka: I po, i właśnie po... jak już dywizja poszła na północ na Polesie, to tych, rozbitki porucznik Jastrzęb zbierał i dołączał później do dywizji. Co z placówkami? Na placówkach nikt nie został aresztowany. Została tylko aresztowana komenda obwodu. Tam był kwatermistrz, byli inni, więc właściwie ich wszystkich aresztowali i zabrali do Lubomla, później ich wywieźli do obozu i różne historie oni przeszli. Niektórzy się znaleźli aż w Niemczech zachodnich, a jeden z naszych żołnierzy to nawet jest w Anglii.

Anna Teresa Pietraszek: No tak, mieliśmy punkt „Mordy w 1943 roku”.

Stanisław Maślanka: Tak.

Anna Teresa Pietraszek: Może powiedzmy jeszcze coś o nich, jeśli zna pan jakieś szczegóły specjalnie przerażające, charakterystyczne.

Stanisław Maślanka: Więc tak, wieś Ostrówki prawie cała, wieś Wola Ostrowiecka też prawie cała, tam coś 1500 osób, tam jeszcze też. Musiałbym zajrzeć do tego, bo już nie pamiętam tych cyfr. Teraz wieś Jankowce częściowo, wieś Kąty też częściowo. Tylko tyle, do Jagodzina, do Terebejek, do Kupracz nie doszli, tak że te inne wsie wtedy nie ucierpiały, tylko te dwie prawie zupełnie.

Anna Teresa Pietraszek: Zostali ludzie wymordowani, wsie spalone?

Stanisław Maślanka: Ze spaleniem to było różne. Mordowali w okrutny sposób. Co, kto miał, siekiera, nie siekiera, wszystko jedno, albo ostatecznie strzałem mordowali i później to wszystko zabrali, zakopali poza wsią. I one były zresztą ekshumowane teraz po wojnie. Są to na to protokoły, zdjęcia i tak dalej, więc IPN lubelski to wszystko ma. Tam jest taki nasz, no, krajan, rodzina jego mieszkała w Ostrówkach czy coś, a on młody tam w IPN-ie pracuje, więc on tam już opisywał dokładnie te wydarzenia. Drugi raz, drugiego ataku Ukraińcy nie przepuścili. Dlaczego? Dlatego, że jak oddział „Korda” już nabrał mocy, przyszedł z Zasmuk jeden batalion, już nie pamiętam który i uderzył na Ukraińców w Zapolu. Tam się gromadzili Ukraińcy i szykowali się do następnego ataku, więc nasz wywiad doniósł i zanim oni się zgromadzili, te dwa bataliony uderzyło na nich i rozbiło ich w drobny mak. Zaskoczenie kompletne, tak że ataków więcej z ich strony nie było.

Anna Teresa Pietraszek: To teraz mamy punkt trzeci „Styczeń 1944 i powstanie 27. Dywizji”.

Stanisław Maślanka: No tak, te wypadki to było wszystko, te mordy, to wszystko było koniec lata, od lipca się zaczęły te duże takie i dużo powstało już tych oddziałów partyzanckich i przyszedł styczeń, a w styczniu to nastąpiła mobilizacja dwudziestej siódmej, bo plan „Burza”, a wiemy, że plan „Burza” to właściwie był przeciwko Niemcom. Komenda Główna to projektowała, ale to u nas nie wyszło, bo plan „Burza” i mobilizacja taka na większą skalę,

to wszystko poszło do walki przeciwko Ukraińcom UPA, tak że... ale zaczęliśmy pierwsi akcję „Burza”, bo akcja „Burza” dopiero na Lubelszczyźnie to przyszła na krótko przed wejściem frontu rosyjskiego, no i Powstanie Warszawskie. To jest też dalszy ciąg właściwie akcji „Burza”. A myśmy ją zaczęli już przecież dużo, dużo wcześniej. W styczniu właśnie ukonstytuowała się już tak na stałe 27. Wołyńska Dywizja Piechota Armii Krajowej. Oczywiście początkowo komendantem okręgu był Bąbiński i jednocześnie dowódcą dywizji, ale króciutko, on został odwołany do Warszawy i na jego miejsce przyszedł „Oliwa” Jan Kiwerski. I ten właściwie, no, nie do końca, bo w walkach on zginął...

Anna Teresa Pietraszek: 18 kwietnia.

Stanisław Maślanka: 18 kwietnia. 18 kwietnia przed... Bo ja dywizja została okrążona w lasach mosulskich, to jest na południowy zachód od Kowla i tam były prowadzone walki z Niemcami. I wyobraźcie sobie państwo, że 27. Dywizja, no, przerwała, czy ja wiem, jak w każdym bądź razie doszło do spotkania z wojskami sowieckimi. Przerwa na linii frontu. Na takich dwóch wielkich armiach, walki armii jak Rosja i Niemcy, 27. Dywizja chodziła sobie, można powiedzieć jak na spacer. Sowietci chcieli oczywiście dywizję podporządkować sobie, oczywiście rozwiązać, inaczej zmobilizować i tak dalej, ale oczywiście na to się nikt nie chciał zgodzić i tam były nawet dwa pułki sowieckie, które tam przeszły troszkę na ten nasz teren, ale tam one niewiele co zdziałały. W końcu Niemcy dostali posiłki i front został zamknięty. Jak front został zamknięty, doszło do tych ciężkich walk, do przejścia przez te tory, przebicia się przez te tory i w tym czasie na krótko przebicia się przez tory zginął pułkownik „Oliwa”. Więc tak jak już zacząłem mówić, różne rozbitki, nazwijmy je, po tych lasach dawnych zaczęły krążyć i porucznik Jastrzęb zaczął ich zbierać, organizować po to, żeby dołączyć do dywizji, ale zanim on tak ich tam zorganizował, to tak jak mówiłem, przyszedł porucznik „Zagłoba” i przyprowadził... On ostatnio był dowódcą szpitala. Szpitala dywizyjnego. On tych wszystkich lżej chorych zebrał i chciał iść za dywizją. Ale to wiadomo, że doszedł do Jagodzina, oczywiście przez tory był przeprowadzony i dalej zacząłem z nim rozmawiać, gdzie on pójdzie, gdzie on będzie gonił z ludźmi, no, poniekąd, takimi już nie bardzo pełnosprawnymi. To co ja będę tu z nimi robił w Jagodzinie, tyle ludzi trzymał, a tu jest bardzo niebezpiecznie, prawda? Ja mówię, dobrze, nie ma sprawy, wszystkich ich załaduję i na Lubelszczyznę pošlę. Wszystkich ich zapakowałem, oczywiście nie jednorazowo. Wszyscy zostali przewiezieni za Bug. Sam porucznik „Zagłoba” z żoną i z synem, który jeszcze żyje, wtedy 10 lat miał, Krzysio. Ich przewiozłem osobno do Chełma i Zagłoba został takim opiekunem wszystkich tych rozbitków, którzy się tam po Chełmie gdzieś kręcili i byli w szpitalu i tak dalej, pomoc, pieniądze i tak dalej, dywizja dała pieniądze, wszystko, żeby dbać o tych rozbitków. No, to jest raz. Aha, nasze placówki wszędzie działały. To znaczy, te, które ocalały, to znaczy Kupracze, Jagodzin, Terebejki i Rymacze. Te placówki działały nadal, to była druga kompania stacjonarna porucznika „Korda”. Na czym to polegało? Te placówki działały na wsi, miały dzień i noc taką ochronę przed napaścią. Oni pilnowali, jak Kord miał jakieś walki, jakieś problemy, gdzie trzeba było więcej ludzi, to te placówki albo cała placówka szła do pomocy, albo część żołnierzy szła i razem. Więc z tego okrążenia pierwszy przylatuje dowódca placówki z Terebejek i mówi: słuchaj, mam kłopoty, bo przyszli Bolszewicy i nas straszą pod pistoletem, że mamy ich przeprowadzić przez tory. Bo idą też na Polesie, bo tam były duże oddziały sowieckie, duże, duże. Mówi, ja nie bardzo wiem, jak przez te tory ich przeprowadzić. Ja mówię, nie ma problemu, ja tu znam każdy bunkier, każdą dziurę. Przychodzę dzisiaj w nocy i ich przeprowadzam. Przyszedłem, przeprowadziłem ich przez ten, do lasu z taką dróżką, wyprowadziłem ich pod wieś Kąty, która była już niezamieszkała, bo część ludzi było wymordowanych, a reszta już się rozbiegła w różne strony. Doprowadziłem i mówię: tu macie drogę na północ,

zdążyćcie w Lasy Szackie, bo to w okolicach Szacka było, mówię, tam waszych jest tyle, że sobie z nimi już dacie rady. Zabrali się i poszli. I spokój. Za parę dni przylatuje znowu z tej placówki, słuchaj, mówi, przyszła nowa kompania ludzi. Ja mówię, kto przyszedł? Jak się nazywa? A, mówi, ja ją przyprowadziłem nawet ze sobą. Przyszła kobieta, ja się jej pytam, to sanitariuszka od Hinczy. Dowódca 19. Pułku Ułanów, tego, szwoleżerów, ja się pytam, gdzie oni są, co oni są, ona mnie powiedziała, zresztą ten z placówki Terebejek, to mówi, ja ich tu wszystkich mam, chowam ich tutaj na tym, ja mówię, dobrze, przychodzę, zabrałem ich, znowu przez tory przeprowadziłem, ale już nie kazałem im iść za dywizją, bo to już nie było najmniejszego sensu, bo to już dywizja, ja nie wiem, czy już była na Lubelszczyźnie, już dywizja była nawet na Lubelszczyźnie. Ja mówię, gdzie wy pójdziecie, dywizja już jest na Lubelszczyźnie. To możecie tylko iść do dywizji. No, wszystko jedno, on mówi, gdzie ona jest, ja chcę dołączyć. I przeprowadziłem ich do Jagodzina i na nowym Jagodzinie tam były takie opuszczone domy, oni tam zakwaterowali, wieś Jagodzin dała wyżywienie, wszystko i tego, teraz trzeba przeprowadzić ich przez Bug. Przeprowadzić przez Bug ja znałem, ale osobiście bałem się sam przeprowadzać, ja mówię, ja załatwię to z AK w Dorohusku, w Świerżach, dadzą mi mieszkańca, który tam mieszka na co dzień, nad samym Bugiem, więc każde to przejście przez Bug, wie, którędy ich przeprowadzać. No i tak było. Gонец przyjechał, ten przewodnik taki, ja go zabrałem do porucznika Hinczy i ten ze swoimi ułanami spieszącymi już, bo konia żadnego już nie miał, przeprowił się przez Bug, przeszedł i tam poszedł, do dywizji dołączył. Znowu za parę dni przylatuje jeszcze jeden. Znowu grupa się pokazała, pytam się: Kto taki? A, porucznik Nagiel z kwatermistrzostwa. Znowu kilkadziesiąt osób i znowu z tych Terebejek. Też zabrałem, przeprowadziłem przez tory, znowu do Jagodzina, tam wyżywienie i tak dalej, parę dni tak odpoczęli po tym, dołączył do dywizji. W tym czasie, tak jak już mówiłem, przyjechali ci łącznicy z Warszawy z tym złotem, co ja ich przyprowadzałem, którzy doszli, wrócili i z powrotem ich przeprowiłem za Bug i pojechali do Warszawy, później dali znać, że doszli wszyscy tak, jak potrzeba. Drugi jeszcze przyjechał też ten w ubraniu SS Galicjen, tam jeszcze jakiś był, ciągle tam ktoś przyjeżdżał, więc jak ja się dowiedziałem, że dywizja przeszła na Lubelszczyznę, więc ja się nie zastanawiałem, sam pojechałem do majora Kowala, do dowódcy Gromady. Więc opowiedziałem mu wszystko, jak i co tam się działo po przejściu przez tory i tak dalej. I mówię, melduję się panu na rozkazy, chcę tu zostać. O, mówi, chłopie, zjeżdżaj mi prędko tam z powrotem. Ja mówię, no, a co ja mam tam z powrotem robić, mówi, to jest ostatni skrawek Wołynia, który jest jeszcze... no, jeszcze nie ma tam Sowietów. Ja się podrapałem po głowie, myślę, każę, trzeba jechać. Pojechałem tam z powrotem i tam już czekałem do końca, przyjmowałem tych wszystkich, mnóstwo tam przez tę granicę ciągle tam kogoś przeprowiłem, jak Kowel był okrążony, ewakuowali ludzi z okrążonego Kowla, cywilów, przywieźli do Jagodzina i wystali do wsi, ona się nazywała Rowno. Taka wieś czysto ukraińska. Jak ja się dowiedziałem to tego, ale myślę, cholera co oni zrobili, tam ich ci Ukraińcy zadźgają. Od razu na placówki, furmanki i pojechaliśmy tam na tę wieś i wszystkich tych ludzi z Kowla, których tam wysiedlili Niemcy, żeby się przechowali, zabraliśmy, rozmieściliśmy po tych polskich wsiach i też każdy, kto mógł, to uciekał za Bug. Różnie tam było, w zależności od tego, kto był, skąd był. Najczęściej oni uciekali za Bug, bo widzą, że tutaj tego. Kowal mówi, słuchaj, tam musi ktoś jeszcze tym całym wszystkim dowodzić. Ja się pytam: Dobrze, ale kto? Nie ma żadnego oficera w tych rozbitków, ja mówię, żadnego oficera nie ma, komendy obwodu lubomlewskiego nie ma, bo została aresztowana. Z komendy obwodu ja zostałem sam jeden. Tak. No, mówi, wszystko jedno jak jest, musisz tam jechać. Ja tam pojechałem i czekałem aż front się zacznie zbliżać. Jak już był bliżutko, to ja widzę, nie ma co, rodzina była już w Chełmie, to ja do Chełma i pod Lublin, i mnie...

Anna Teresa Pietraszek: Kiedy to było?

Stanisław Maślanka: To był już gdzieś koło 20 lipca.

Anna Teresa Pietraszek: Koło 20 lipca.

Stanisław Maślanka: Tak, bo oni weszli 22 lipca, więc gdzieś koło 20 lipca tam się schowałem w Sadurkach koło Lublina i czekam, aż ten front przejdzie. 22 lipca, 1944. I tam czekam, aż ten front przejdzie. Przeszły te wojska ruskie, przeszły tam bez kłopotu, pokazało się tam BH, było mnóstwo Niemców, to jeszcze ja podszedłem do nich, pytam się, co oni ścigają Niemców, no, a gdzie, a oni tu się gdzieś zaczaili. Dali mi broń, jeszcze poleciałem, żeby im pomagać. Oczywiście to tego. Za dzień czy dwa zgłasza się, idzie jakiś facet, coś mnie się pyta, ale tak coś ja patrzę tak na niego, zalatuje trochę wschodnim. Ja pytam się: A skąd pan jest? On mówi: Z Wołynia. Ja mówię: Skąd pan idzie, to pan na pewno idzie z dywizji. On mówi: Tak. Ja pytam się: Co się dzieje z dywizją? Mówi: Proszę pana, już zostaliśmy rozbrojeni w Skrobowie. I stąd dowiedziałem się, co się działo z dywizją, więc ponieważ Sowieci już weszli do Lublina, można było jechać, więc w Lublinie jeszcze tak nikogo nie złapałem, ale za dzień, czy za dwa, zjawił się już w Chełmie „Kord”, zjawili się inni oficerowie, już nawiązałem z nimi kontakt z tymi oficerami, których znałem.